

**WŁADYSŁAW
ORKAN**

PŁANETY

Władysław Orkan

Płanety

«Public Domain»

Orkan W.

Płanety / W. Orkan — «Public Domain»,

Zbiór trzynastu utworów Władysława Orkana (1875–1930), w przeważającej ilości opowiadań, których fabuła, oddana z naturalistycznym zacięciem, toczy się w realiach życia góralskiego. W prezentowanych tekstach Orkan daje się poznać jako wnikliwy obserwator, z zamiłowania publicysta i etnograf. Nie traci przy tym wrażliwości i zaangażowania społecznego, bowiem zawsze opowiada się za ocaleniem człowieczeństwa i spraw istotnych, skazanych na niepowodzenie. Surowe, oszczędne stylistycznie obrazy porażają czytelnika pesymizmem wymowy, ukazując biedną, zacofaną wieś galicyjską końca XIX wieku.

Содержание

Chłop na łany wyszedł	5
Nad urwiskiem (I)	6
Wilija	8
Gody	11
I	11
II	15
Конец ознакомительного фрагмента.	18

Władysław Orkan

Płanety

Chłop na łany wyszedł

Chłop na łany wyszedł z kosą... istna śmierć!
Istny szkielet, chylący się pośród zbóż...
Stanął... patrzy... kiwa głową: «Któż wie, któż,
Czyli z korca wysianego zbiorę ćwierć»...

«Nie usiecze... owies mały... liche źdźbła» —
Prasnął kosą, aż brzękła – rzucił sierp:
«Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!»
Zęby zaciął – na powieki trysła łza...

I potoczył łzawem okiem w ciemną dal:
«Przyjdzie zczeznać... Ha, no darmo! To i cóż?
«O mnie mniejsza – ino dzieci... dzieci żal!..»

I do serca pchał się gwałtem dziwny lęk —
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

Nad urwiskiem (I)

Promienie wiosenne słońca, idąc ukosem po niedawno ze śniegu obeschłych stokach, doszły do pustych wyrębów na stromem zboczu góry, zarysowały białą stado siedzących rzędami pniaków i zblękitniły dym, rozpluwający się ku górze białą chmurą, a dobywający się szarymi palcami z każdego gonta, z każdej szpary niskiej chałupiny podleśnej.

Ludzie już wstali – słońce dalej poszło, nie zajrzało...

Wstali od świtu mieszkańcy chałupiny leśnej.

– Na wiosnę drogi czas, na spanie zima. Wstań, ugotuj śniadanie i do pola!..

Temi słowy obudził Bartek swoją babę.

Przeciągła się leniwie, jak kotka na przypiecku. Ciepło jej było i dobrze. Ale „jak mus, to mus”. Wskoczyła z łóżka, wdziała spódnice i przeszła ku nalepie, a dzieci, zbudzone gwarą, figlowały z ojcem na łóżku.

Niezadługo Bartek zostawił dzieci same, wytrzeptał z włosów szczecinowych słomę, co mu przez noc nalazła, i umywszy się zimną wodą z konewki, przeszedł do okna zmówić pacierz...

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie – szeptał bezmyślnie, patrząc przez szyby na dolinę, gdzie cała wioska osiedlami się rozłożyła... Zagony krótsze i dłuższe krzyżują się naprzemian, wchodzą jedno w drugie i klinami wdzierają się w puste ugory i pastwiska. Zdaje się, że wielka jakaś siła rzuciła stary, zzieleniały płaszcz na ziemię, na którym łąta na łącie o różnych wielkościach i barwach.

– Ale nas zbaw ode złego – dodał głośniejszym głosem i zwrócił się do żony. – Patrzo, Ulka! Jasiek od Grele już hań orze koło Zimnej Wody...

– A niechta! – odpowiedziała, wysypując ziemniaki do garnka. – Jak Bóg da, to i my zaorzemy na czas. Nie mamy wiela...

– E, dyć!.. – zasępił się Bartek i począł dalej szeptać: – Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna... Nie mamy wiela, nie...

Po każdym następnym „Zdrowaśku”, chwycił się za każdy następny palec, żeby nie zmylić przypadkiem, bo miał zamiar zmówić całą cząstkę różańca. Aleć przy piątym Zdrowaśku już nie mógł nijako dojść do końca...

To zaczynał nanowo, to się żegnał parę razy, ale wszystko na nic. Nie mógł przywołać myśli, które woli jego już od samego świtu wypowiadały posłuszeństwo, a teraz stanęły w jawnej niezgodzie z nim samym...

– Nie porada se dać rady – szepnęła i poszedł za niemi, gdzie go wiodły.

Widzi... „Jasiek orze zagon koło Zimnej Wody. Hań, za Działek wyciągnął pług Józek od Cieśli... małemi byczętami... nie stać go na większe... A przecie do niedawna był z niego rzomny gospodarz!”

Przebiega okiem pola i zagrody... „Jak to wszystko zmałało do kaduka! Hań nieboszczyk Szymek od Grzędy miał teli kawałek... całe długie stajanie... Dziś ino strzępy. Dzieciska potargały, podzieliły się do równości – zostało im po zagonie... A dyć ono nie ino hań! Bo i u Zapaty nie dojrzysz kawałka na całej roli, coby korzec owsa mógł wleźć na niego... Same zagony wążiuteńkie, jak nitki... Miedze i miedze – jedna przy drugiej... Do kaduka! Cóż się to dzieje?... Przecie to niedawny czas, a tak się pozmieniało wszystko... Coby to było?...” – Myśli... – „Aha! już, wnedziutki... ino, ino... zaraz... Nieboszczyk dziadek miał całą tę zagrodę, kaj ja siedzę... Dziś nas pięciu do tego... bo tak: On podzielił synów, ci – swoje dzieci... a ja znowu podzielię...

Przerażone oczy latały od miedzy do miedzy, od zagona do zagona – myśl pracowała uparcie, aż mu pot kroplami stanął na czole. Z wyobraźni znikła wieś dawna, którą jeszcze w myślach nosił – i dzisiejsza oddalała się zwolna – a z po za mgły, z przyszłości, występują miedze... same miedze, jedna przy drugiej, jak skiby na uwrociu... Wilgotne bruzdy czerwienią się rdzawo, jak gęsto ścięta, skrzepła krew... A tłumy ludzi idą mrowiskiem, czernią, miljonową szarańczą zalewają krwawe

pola... I widać, jak się to robactwo kłębi, dusi i spycha i walczy zajadle o każdą skibę, aż ziemia powilgotniała od czarnej posoki, a ciepłe opary unoszą się w powietrzu...

Chłop drgnął – ujrzał się nagle nad urwiskiem... Szklane oczy spojrzały w przepaść... Przymknął je, jakby w obliczu śmierci... Widmo okropnej nędzy stanęło tuż przy nim, blisko... Zeszedł się z niem oko w oko. I zbladł i począł dygotać na całym ciele... Każda żyłka zadrgała przerażeniem.

– Jezus! Jezus! – wykrztusił i otworzył szeroko oczy, zapatrzone w przyszłość...

– Co ci to Bartuś? – spytała miękko żona.

– Nic, nic...

Ruszył do sieni, żona za nim...

– Kaj idziesz?

– Do roboty – odparł bezdźwięcznie.

– A śniadanie?

Nie odrzekł nic. Wyszedł za próg, na osiedle, wyciągnął pług, nabił lemiesz i trzósło i poszedł do stajni wyprowadzić woły...

– Trza robić, trza... – powtarzały wargi wciąż i bezustanku.

Robi wszystko, jak dawniej, lecz machinalnie i bez czucia.

Wiarę stracił – i porusza się, jak maszyna, party jedyną koniecznością życia.

– Trzeba żyć, trzeba...

W szeroko otwartych i naprzód zapatrzonych oczach drzemie tylko jedyna myśl – o czarnej przyszłości.

Wilija

W chałupie Błażeja Szczypty panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj; te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej „uwijacki”, z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić jakaś ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilji Bożego Narodzenia...

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im wczoraj matka zapowiedziała wyraźnie:

– Pamiętajcież se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło!... Bo jak na wilję dostanie bicie, to je bez caluteńki rok to samo czeka...

A ojciec przybaczył im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą uciąć podłazniczkę, popatrzał na nie z napół surowym uśmiechem i rzekł od progu:

– Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo „na wiliją – dzieci biją”...

Tereska nie potrzebowała napomnienia; miała już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józus, który w izbie robił hałas za dziesięciu – ci dwaj zbereźnicy, gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

– Tereś! – zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami lnianej koszuli mięszała ciasto na nieckach – umyj se ręce i zabier się do innej roboty. Ja to już sama skończę. Przynieś karpiele z piwnicy, obier je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

– Dyc jeszcze czas... – zauważyła Terenia, nie chcąc przerywać miłej roboty. Lubiała patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z pod drobnych paluszków.

– Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kież się uwarzy?... A groch trza długo gotować, coby uwrzał...

Tereska, rada nie rada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, opłukała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

– W cieple może się prędzej ruszy... – szepnęła do siebie i zabrała się do gniecienia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

– Mamusiu, co to będzie? – zapytał nieśmiało młodszy.

– Kołacze będą...

– Dziś?... – spytał starszy.

– Dziś póst... nie wiesz o tem? Wilija...

– To nic nie będziemy jeść, bo mama powiedziała Teresie, że dopiero na wieczór ugotuje...

– Na wiliją... – oświadczyła matka.

– To dopiero wieczór wilija?... – pytał żałośnie młodszy.

– Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je...

– Na wieczór!... – szepnęli smutno obydwaj i spojrzeli ku garnkom, stojącym rzędem na nalepie.

Niezadługo wróciła Tereska i jęła się łupienia kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robotą po robocie, rażno, wartko... W dymnej izbie wisiało oczekiwanie rok niewidzianej wilji...

Niebawem i Błażej wrócił z podłazniczką. Zmarzł jak sęk, bił kerpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...

– Mróz, jak sto djabł...

– Cit!... – pogroziła mu żona – wilija dzień święty... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch!... Jeszcze mi do ciasta naprószysz. W izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, łypnął oczami, jeszcze raz kerpce jęknął o ziemię i pognął do stajni, wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać...

– Tereska! – zbaczyła se matka – leć no za ojcem, niech zruci drobnego siana...

– Na stół! Prawda! – klasnęło w dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

Matka przykładła dREW do pieca. Dym walił się na izbę i sięgał prawie do samej ziemi. Dusila się kobiecina, raz po raz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie odstępowała nalepy...

– Dyc się przecie musi przewalić... – powtarzała głośno.

– Mamo! szczypie! dym!... – wołał Józus.

– To idź do izdebki... czemu tu siedzisz?...

Wojtuś pociągnął braciszka, rzucili się strzałą przez sień, drzwi tylko do izdebki zaskrzypiały... Dym pchał się otwartymi na oścież drzwiami, ale z izby nie ustępował. Wszędzie go było pełno.

– Niech będzie pochwalony!... – rozległo się w sieni.

– Na wieki wieków!... – wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła lepiej oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno, jak we mgle, chuda postać.

– A, to ty, Jagnieś!... Pójdź-że dalej, ale tu dym...

– A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... – odpowiedziała zgrzytliwie i przypadła do nóg gospodyni. – O, moja gosposiczko!...

– Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?

– Pytajcie się, kaj idę... bo sama nie wiem. U ludzi wilija, a u mnie zawdy póst...

– No, siadźno, siadź, nie narzekaj – mówiła łagodnie gospodyni. – Zostaniesz na wiliję u nas.

Nie dużo nas, to się zmieścisz...

– O, moja gosposiczko!... – drugi raz przypadła do nóg Błażejowej. Nie miała słów podziękii. Ona, biedna komornica, raz będzie na „porządnej wiliji”, w ciepłe, przy pełnych miskach... Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem, siadła nieśmiało na ławie.

– Cóż ta u ludzi słychać? – spytała po małej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiadała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierzając jeszcze... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

– U ludzi? u ludzi, pytacie?... Jak zwyczajnie na wiliję – każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może... Jasek z Brzegu kupił worek mąki od żyda...

– Czy mu już brakło ziarna?

– Co mieli, to zjedli na jadwencie. Ho! nie każdy to ma swoje, nie każdy...

– No i pomyślijcie, kaj ta do przednowku, a już kupują...

– La biednych cały rok przednowek.

– Dyc tak, nie inaczej... – zadumała się gospodyni, patrząc z założonymi rękami w trzaskający ogień. Myślała o przyszłości, o dzieciach swoich... „Dziś jeszcze mają... ale potem, za jakiś czas... czy się obejdą na wiliję o swoim? Czy ich bieda nie zmusi kupować – i za co?...”

– Rusza się... rusza!... – wołał wesoło mały Józus, który już wpadł z izdebki i wskazywał rozwartymi palcami na niecki. Jagnieszka podniosła się z ławy.

– Bez uroku! piękne ciasto. Będą się kołacze darzyć...

– Oh, już czas! a ja się zagadała... – karcila się gospodyni. Zdjęła z pieca niecki i przyklepywała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Teresa, niosąc na naręczku drobne siano.

– Cóż tak siedzicie? – zburczała ich gospodyni. – Tereś! Bój się Boga, to już dawno z południa, a jeszcze ci nic nie wre... Kładź-że drewna na ogień i gotuj co tchu! Siano podścielisz na dość czasu...

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając nieśmiało, czy nie będzie markotno, że ją gazdzina zatrzymała na wiliję... Chłop się rozśmiał dobrodusznie. Więc, bardzo rada, pozwijała się w kłębek i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc jak najmniej miejsca zajmować...

Tereska zwinęła się koło nalepy, podnieciła ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą na górę... Matka rozklaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kołaczce rumieniły się w piecowym warze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało się im bicia nie dostało, bo podłaziły matce pod łopate, na której wsadzała placki.

Błażej zaś „śwarniał się” po izbie tu i tam. Bydłu polanie przyniósł, podłóżniczkę obcinał, ale i głód mu ścisnął wnętrzności, bo często zazierał do garnków, rychło się uwarzy...

Mroczyło się powoli... Nadchodził wilijny wieczór. Czuć go już było w podnieczonej gorączce oczekiwania, malującego się na zgłodniałych twarzach. Nie dziwota – od rana nic nie jedli, żeby na wiliję mózgi więcej przełknąć i bardziej się ucieszyć...

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczery...

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite „warzywo” z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas, gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono w izdebce stół drobnym sianem i przykryto lnianą paruchą.

Wszyscy przeszli do izdebki i pokłękli na ziemi...

– „Pobłogosław, Panie, te dary...” – mówił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim...

Tylko mały Józus nie uczuwał tego nastroju religijnego, pierwszy wygramolił się za stół na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominawszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu i tak nie ucieknie...

Z przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łać opłatkiem... Łamali się naprzemian wszyscy, po dwa, po trzy razy. Dzieci chichotały głośno, komornica łyżką miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego... Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek...

– Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać drugiej wiliji w szczęściu... zgodzie – pocałował krucze włosy żony. Komornica się nażyczyć nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli...

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodniałi i wylawiali drewnianymi łyżkami okrągły groch w brunatnej wodzie... Potem szła kapusta z grochem i suszonymi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkim mlekiem...

Dwie miski wypróżnili z kretesem, na trzeciej zostało na dnie mało co, na ostatniej najwięcej...

Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku – i to była ich „wilija”...

Matka pozlewała resztę jadła bydłu na polanie.

– Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata – mówił Błażej. – Niech zje, niech i ono ma wiliję, jak się patrzy...

Po wieczery, ojciec wniósł podłóżniczkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

Gdy gospodyni wyjęła upieczone kołaczce i wyniosła na chłód, a Tereska skończyła odbywać się z bydłem – wszyscy znaleźli się razem w ciepłej izbie, gwarząc wesoło i ubierając podłóżniczkę...

I wieczór prędko zleciał. Przed północą wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty, jak kołek, nie mogąc nawet palców rozprościć, w których dzierżył zadymioną latarkę...

– Idziecie na jutrznię?

– Idziemy...

– To się zbierzcie.

Tańczył po izbie, by się jako rozgrzać, a tymczasem Błażejowa z Tereską wdziewały łachy. Błażej się obuwał i pchał ocieplaki słomy do kerpców, bo mróz nie śpasuje...

Wnetki się zebrali i poszli razem na jutrznię. W chaupie została komornica z dwojgiem dzieci, uszczęśliwiona, że posiedzi w ciepłej uczcie; miała jednak niemało kłopotu z Józusem, który nie mógł usnąć i wrzeszczał co chwila, że mu „wilija siedzi w brzuku i gniece”...

Gody

I

Ludzie po sumie wysypali się z kościoła. I wbrew swemu zwyczajowi, nie zatrzymują się koło sklepów, nie stają gromadkami na rynku, ale każdy leci w swoją stronę. We wszystkich kierunkach od kościoła idą, rozsypują się po kamieńcu, mijają jedni drugich, spychają się z ław, a co które, to szybciej zdąża ku swojej chałupie. Pędzą ich różne powody, niemniej wszystkie nader ważne. Raz, że to „godnie święto”, Narodzenie Pańskie raz do roku musi się różnić od zwykłej niedzieli, powtórę, większa część ludzi, którzy zdalsza przyszli, nie miała nic na zębie od wczorajszej wilji... Przyszli na jutrznię, a tu rano jedna msza po drugiej – więc żal im było odchodzić i zostali na sumę. Zato w chałupie czeka ich suty obiad – toż lecą na zabicie.

Przez pusty, biały dział, przecięty dwoma potokami, a podnoszący się stromo ku wysokim Groniom, sypią się ludzie ścieżyną wąską, długim, czarnym sznurem... Idą jedni za drugimi, dyszą ciężko, a nie ustają.

Tam, w górze, przy sinych lasach ślęczą ich chałupy poprzyczepiane, jak szare gniazda jaskółcze pod strzechą. Do nich stermią się pod górę wygłodniali od rana ludziska; nawet starzy ciągną za sobą zmordowane nogi, robią piersiami, jak miechem, a nie ustają... Gdyby tak zajrzeć skrycie w myśli każdego, toby można znaleźć wszędzie jednako nieokreślone pojęcie pragnień, mieszczące w sobie: ciepłą izbę, miskę pęczaków ze skwarkami i coś jeszcze... może rosół z ziemniakami, albo sztukę mięsa. To ostatnie niepewnie, bo na takie zbytki nie zawsze i myśli mogą sobie pozwolić. To jednak pewna, że i kazanie się zatarło, a ksiądz w ornacie zbladł „przy ontarzu” i mniej waży w ich obecnych myślach, niż pełna miska pęczaków, miłośnie skwarkami chwytająca za serce... „Człek żyje, aby jadł – i Panu Bogu się podobał” – dość często spotykane przysłowie, a „przysłowia są mądrością ludów”.

– O, ka hań to już Jędrak!... – mówili ludzie, idący na samym ostatku, wskazując przytem przed siebie, gdzie rysowała się na działku smukła figura opiętego w chazukę parobczaka. – Leci, jak na złamanie karku...

– Chciałby jak najprędzej zasiać na wiosnę, temu leci – ozwał się z wiarą stary Szczepan.

– A wybyście to nie chcieli? – żartowała idąca za nim kumoszka.

– Dyćby każdy rad. Ale cóż? Młodszemu zawdy raźniej. Trudno wszyscy mają być pierwsi.

Rozsądną odpowiedzią zamknął gębę śpasobliwej kumoszce.

Odwróciła się do dziewczyny, idącej w tyle.

– A ty Wiktuś, czemu ostajesz na zadku?

– Nika mi nie śpieszno – odpowiedziała hardo Wikta i gniewne spojrzenie rzuciła na działek, gdzie się czerniła chazuka Jędrka.

– Niech leci! – pomyślała. – Myśli, że go będę gonić... jutro!

– Wiktuś – ciągnęła kobieta, nie zrażona suchą odpowiedzią. – Rówieśnice cię poodlatują i co będzie?... Patrz, ka hań to już Jadzia z Anielką! Pod samemi chałupami!... A nie wiesz to, że dziopy powinny dziś na wyścigi lecieć, coby w mięsopusty była o nie dobijacka...

– Nika mi się nie śpieszy... – odrzekła sucho.

– Taak? A chciałaś na jadvencie wesele zrobić. Nie śpieszyło ci się? co?

Głośny śmiech idących przodem zawtórował słowom złośliwej kumoszki. Wikta zacisnęła zęby i stanęła, odwracając się za siebie, choć nie było kogo wyzierać, bo już wszyscy przeszli. Śmiechy i docinki oddalających się wpadały zgrzytem w jej uszy. Złość ścisnęła jej serce i wypierała do oczu łzy, które staczały się po zaczerwionem licu i spadały duże, jak paciorki, na gwiazdzisty, śnieżny puch.

Ludzie odeszli ją i zostawili samą na białym dziale. Odwróciła za nimi głowę. Już dochodzili Gronia i tracili się po jednym, po dwóch... Wreszcie ostatniego chałupa skryła za działkiem.

– Trza iść – szepnęła. – Nic nie wystoję. Ale przecie nie będą dogryzać...

– O, ja głupia, sto razy głupia! – mówiła sobie idący. – Było mi nie wierzyć obertalowi, jażby nas był ksiądz od ontarza odegnał... A tak – pośmiewisko i nic więcej. Każdy na ciebie patrzy, jakżebyś mu był co winien...

– Co oni mają do mnie? – rozogniała się coraz więcej. – Niech siebie patrzą, nie kogo!... Co ja komu wadzę?... Co ino wtóre idzie, to cię musi ugryźć. Ani w kościele nie stanij, ani na drodze nie podchodź, bo cię zaraz dożrą i uszczypią... A to bez tego przekłętego Jędrka! Teraz to ucieka, bo nie śmie spojrzeć w oczy... Kole go... A niech go kole! Ja se ta nic z tego nie robię...

Nie pomogło jednak „oscymanie”, ani żadne wewnętrzne perswazje, bo łyzy gwałtem cisnęły się do ocz. Tak ich było pełno, że się ustanowić nie mogły... Przekonaną była, że go nienawidzi. I w tej nienawiści musiała ciągle o nim myśleć... Co za los!

Doszła powoli do chałupy. Nie czekali na nią z obiadem, bo już zaczęli z drugiej miski, kiedy weszła do izdebki. Matka zaraz poczęła na nią swarzyć, czemu nie przyszła odrazu po sumie...

– Dyć po sumie idę...

– Aha, po sumie... Kto wie, jakiej!

– Dyć-em z tatusiem wyszła z kościoła...

– Tatus już w chałupie od dawna... A tyś którędy szła, że cię nie widać?

– Prostą drogą.

– No, no... ino zawdy taką prostą drogą chodź, to wychodzisz!...

– Co mam wychodzić?

– Nie wiesz, co? – zerwała się w gniewie matka. – Tyś zawdy szła prościusieńko, ino nie tam, kaj ludzie chodzą!... Potrzebno ci było z Jędrkiem ostawać u kościoła? Cóżes wygrała? To, że cię zabałamucił, niby to począł się żenić i zwłókł do jadwentu. Zapowiedzi wyszły, ludzie czekają... a tu nic!

– Przecie ja temu nie winna.

– Ino kto?!

– E, dałabyś pokój raz tym wykładaniom – ozwał się ojciec, oblizując łyżkę. – Lepiej pójdźcie jeść, to se przy jedle powiecie, co macie pedzieć. Że się Jędrak nie dożenił, to się dożeni... Na wesele zawdy czas.

– Zaś ta nie zawdy!... – zaprzeczyła żona. – Zwleka się, zwleka, a potem się ze ślubem spóźnią... i co bedzie? Dość już śmiechu ludzkiego i obrazy Boskiej.

– Toś mogła Wikty na boisko nie wyganiać! – rozsierdził się chłop. – Miała ka w izbie legać... a tyś matka od tego, rozumiesz?!

Żona, zamiast wpaść w większą pasję, przeżegnała się dwa razy.

– W Imię Ojca i Syna... Jantuś! Co se ty przybierasz do głowy? To ja może Jędrkowi raiła, kany Wikta śpi? co? może ja?!

– Eh – machnął ręką – tu nie o to idzie. Młodemu raić nie trza, sam trafi. Ino trza było strzedz... rozumiesz? Bo dziopa, jak zwyczajnie dziopa, niedowarzona...

– Ale... wyście wszystkie niedowarzone! – dodał po chwili i jął się jadła.

Wikta tymczasem zdjęła łachy i siadła z matką obok miski. Jedli jakiś czas w milczeniu, każde zajęte swojemi myślami, a może wszyscy jednemi, bo sięgali na jedną miskę... O Jędrku już nie było mowy.

Po obiedzie, gdy ojciec poodbywał się z bydłem, a Wikta posprzątała miski, znaleźli się znów razem w ciepłej izdebce. W piekarni, izbie dymnej, skąd ciepło, zaraz po wypaleniu na nalepie, ucieka, siedziała sama „służąca z dzieckiem”. To dziecko było kamieniem niezgody między Jantkiem a żoną. Przy każdym jedzeniu musiała mu je zbaczyć, a on, wściekły, nie dojadł, ale łyżką prał o ziem

i odchodził z pogroźką, że się to raz musi skończyć. O jakim „skończeniu” myślał – trudno było dociec...

Ciągłe swarzenie na ojca ustało, a poczęło się umęczenie córki, kiedy się Jędrak nie dożenił... Odtąd stale, przed każdym jedzeniem, przypominała jej matko dobitnie, że „raz musi dokończyć (niech się co chce dzieje) i złapać Jędrka, zanim mięsopust nadejdzie” – tu szedł ostatni, najsilniejszy argument, że się „łatwo mogą ze ślubem spóźnić”...

Ojciec, pomnąc swoich udręczeń, brał córkę w obronę, choć sam w duchu przyznawał rację żonie... Zresztą chciał mieć zawdy swoje zdanie, by żonie ani na chwilę bez myśli nie przeszło, że stoi pod jej władzą... Trzymał się stale opozycji, nie domyślając się, że to broń słabszych...

Jednak przed rozumem żony miał wielki respekt. I nieraz se już pedział, że jego „baba, to przeznaczenie”...

– Co uradzi, to się musi stać, choćby się człek na głowie postawił...

I jak powiadał, ożenił się z musu, bo już „od maleńkości bał się przeznaczenia”...

– Ale cóż? – mawiał. – Jak cię ma trafić, to cię trafi... Ono za człkiem łązi, jak cień...

I choćbyś do mysie dziury wlaź, to cię najdzie...

Wiarą w „przeznaczenie” słodził swój żywot i pchał tę biedę nieszczęsną, jak mógł.

„Godnie Święta” nadeszły... I Jantek, wygrzewając plecy koło pieca, medytował, czemu te święta ino raz do roku...

– Musiał nie bardzo dbać o ludzi ten, wto je ustanawiał – myślał se cichutko, ale się bał głośno odezwać, bo mu „wola Boska” zamykała gębę. Na wolę Boską zwałował wszystko złe na świecie... I z tem mu również było dobrze.

Grzejąc się przy piecu i medytując, pozierał ku żonie i córce, które cosi uradzały w kącie... Ciekaw był bardzo, co one tam szeptają, ale na złość, słówkiem nie pisnął...

– Radzicie, to radźcie! A ja i tak muszę mieć swoje słowo na ostatku. Ono się ta bezemnie nie obejdzie... – myślał i czekał końca, nie bez racji, bo żona, nakładłszy w uszy Wikcie, co się jeno zmieściło, odezwała się głośno:

– A ty, Jantek, pamiętaj se dobrze, żebyś mi Jędrkowi hańby nie zadawał, jak tu jutro przyjdzie.

– No, no, ino ty trzymaj ozór na uwięzi, a o mnie się nie tórbuj! – rzucił się gniewnie Jantek.

– Ona mi będzie z góry dyśkunować, co ja mam robić...

Splnął energicznie za piec i począł nakładać fajkę. Ale nie mógł wytrzymać długo. Drażniły go ciche szeptu poza plecami.

– A skądże ty jutro Jędrka weźmiesz?... Cały jadwent się nie pokazał...

– To się pokaże na godnie święta – rzekła stanowczo żona.

Jantek pokiwał głową.

– Hm... na jaki sposób?...

– Na taki, że ludzie do ludzi chodzą... rozumiesz?

Udawał, że rozumie, coby go nie posądziła o ciemną pałkę...

Matka z córką, naszeptawszy się do woli, wstały ze skrzyni, gdzie siedziały obok siebie. Musiały coś niepośledniego uradzić, bo matusia przestała krzywo patrzeć na Wikte, której już lica obeschły z łez, a oczy zabłyszczały wesołością...

Jantek, rusz-że się od pieca! Pójdź, ugryziesz co... – mówiła żona, wyjmując kołacz ze szafy i kładąc na stół.

Zbliżyli się we troje, połamali i jedli... Harmonja zapanowała i ciepło w maleńkiem kółku. Niktby nie powiedział, że ci ludzie sprzecząją się niekiedy...

Czas włókł się powoli, jak zwyczajnie we święto. Wiedzieli, że nikt, nawet z bliższa, do nich nie zajrzy. Dwa święta do roku: Godnie i Wielkanoc, w których każdy siedzi w chałupie i je, co może i zdoła, nie zazierając do nikogo. Gdyby w tym czasie otworzyć wszystkie chałupy, jeden przedstawiłby się obraz: rodziny, skupione w kółka, zajęte sobą tylko, zjadające dar boski, na jaki które stać...

Długie popołudnie świąteczne przewlokło się leniwie. Wieczór nadciągał powoli. Mrok czarny osiadł na ścianach, kładł się na sprzęty w izbie szarą powłoką i wił się u powały ciemnią...

Jantek wyciągnął kantyczki ze stolika, rozłożył je na stole i począł szukać wesołych kolend. Matka z córką zbliżyły się ku niemu. Trzy głowy pochylały się nad kantyczkami, trzy odmienne głosy niedostrojone, zaśpiewały na skoczną nutę:

W Bethleem przy drodze
Jest zła szopa srodze...

I wesołość wpadła z kolędą do małej izdebki. Zdawało się, że sprzęty puszczą się w taniec. Szafa dudniła, jak dęty instrument, ile razy wybił się niski bas Jantka, ponad cienkie, piskliwe głosy kobiet. Wikcia darła się głośno, jak przy bydle, z radosną ochotą powtarzając każdą zwrotkę, zwłaszcza tę „o pastuszkach”:

Wejdą w szopę mali:
Anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę
Dzieciatku na kolébkę...

Serce jej podnosiło się radością wielką. W myśli już huśtała „złotą, wierzbową kolebkę” i śpiewała do snu „maleńkiemu”.

Mrok ich owinął całkiem, noc zapadła, a zmęczone głosy nie ustawały...

Można przysiąc, że w każdej chałupie taka kupka w mroku przeszła z kolędami myślą do bethleemskiej szopy i cieszy się, raduje, jak „anieli strugają” – albo też...

Jeden kąpiel grzeje,
A drugi się śmieje:
Trzeci pieluszki suszy,
Każdy rad służyć z duszy!...

Raz do roku kółka rodzinne jakieś swojskie, miłe, zgodne, jedną myślą parte do „szopy”, gdzieby każdy „z duszy rad służyć Maleńkiemu”...

Ale to ino raz do roku, na godnie święta...

II

Nazajutrz rano, w dzień św. Szczepana, szła Wikta od Jantkowej chałupy ścieżyną nad potok, gdzie schodziły się drogi z za działku i od wysokich Groni. Widziała przed sobą sznur ludzi, ginących za działem – za sobą nikogo.

Przyśpieszyła kroku, by się na sumę nie spóźnić. Wykrochmalone spódnice suściały po śniegu, nie miała nawet czasu zagiąć do góry, by się nie obstrzępiły... Co ją tam spódnice, co ją cały świat obchodzi!.. Ona tylko wie o tem, że musi Jędrka ściągnąć...

Dlatego przezierała się dziś pięć razy w zwierciadle, zanim wyszła z chałupy, próbowała siły swoich ślepek, a w kościele spróbuje na nim... „Stanie se przy bocznym ontarzu, naprzeciw chóru, ka on stawa, i tak go będzie świdrować oczami, że nie ustoi, ino polecą za nią, ka będzie chcieć... Abo nie! I dawniej przecie świdrowała, a zwłóczył i zwłóczył... Zrobi tak. Stanie se naprzeciw i spojrzy tak smutno, jak Matka Boska Bolesna z ontarza... Wtedy mu się sumienie ruszy i... cieszcie się janieli! Bo już po wszystkich lamentacjach”...

– Matusia dobrze radzili – myślała se dalej. – Oni przecie nie tacy źli, jak się wydają... Chciałam ci go złością przyciągnąć i nijak nie szło... Nie szło, nie, bom se chciała z honorem chodzić. Matusia dobrze pedzieli, że się honorowi wnetki ucho urwie i po wszyckiemu! O, nie po wszyckiemu! Dopiero się dziś zacznie!... – zawołała z siłą – spróbujemy się, kto mocniejszy: ty, czy moje oczki!... Spróbujemy... O, Najświętsza Panienko, dejże też...

I powoli myśli jej przeszły w cichutką prośbę... o Jędrka.

Zleciała chyżo na dział i ku kościołu. Wpadła pod dzwonnice, pragnąc się dostać gwałtem przed boczny ontarz...

W kościele ciżba była wielka. Mały, drewniany kościółek trząsł się w posadach od napływu parutysięcznego tłumu, który kołysał się, jak fala, parł na ściany – i dusił w świątyni Pańskiej... Kościółek huczał silnym basem organów i jeszcze silniejszym chórem parutysiąca gardzieli, a w przerwie między zwrotkami kolęd wylatywały z tłumu bolesne wrzaski, urywane przekleństwa i wyzwiska dosadne...

– Dyc się nie pchaj! Czyś w chlewie? – krzyczy jakaś kobieta z pod chóru.

– A ty mnie nie śturkaj!

– Ludzie! Bójcie się Boga, bo mnie udusicie!...

– Jezus, Marya!

– Mamo, mamó! – przedarł się żalony głos dziecka.

– O ratunecku! moja ręka!

– Nie napierajcież tam ze zadku, bo wlecimy na ontarz! – woła silny głos od balasków, które trzeszczą pod naciskiem ludzkiej fali!

– Cicho! – zapanował nad wszystkimi stentorowy głos kościelnego i zanucił:

Pasterze bieżeli,
Gdy głos usłyszeli...

Organista uciął ognistą polkę... Krzyki i wyzwiska zginęły w potężnym chórze...

Kiedy w świątyni Pańskiej taki zaduch kotłowanie, ciżba – w świątyni przyrody spokój panuje ogromny i wielka cisza. Jasna, puszystą piersią oddycha ziemia ku słońcu, które ponad szczytami toczy białe koło, świetlane... Na wschodzie i na północy zieloność jasna siadła na widnokręgu niebieskim, rozplływając się ku sklepieniu w ciemny, zamglony błękit... Od zachodu chmurki pierzaste wybiegły... Zda się, że białe aniołki o złotawych kędziorkach pochwyciły się za rączki i lecą szeregami ku zorzy za tęczą poranną... I zda się, że gwiazdki strzepały na ziemię z rozpostartych

skrzydełek, bo jedne, spadły już, błyszczą po śniegu djamentowym ogniem, a drugie lecą powietrzem ze mgłą, leciuchno, mieniając się od słońca tysiącami odbłasków...

Tam od kościoła przedziera się powietrzem zgrzytliwy głos organu i zmieszane głosy ostrem wylatują echem – a tu w świątyni przyrody spokój i cisza bezmierna...

*

Ledwo w Jantkowej chałupie podnieśli się ludzie od obiadu, już stary Szczepan „z Boską pochwałą” wszedł do izdebki.

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, coby się darzyło w kumorz, w oborze i na polu... dej Boże! – wygłosił jednym tchem, ciskając zboże na dyle, jak siewca na uwrocie...

– Dej Boże! – odpowiedzieli wesolo. Szczepan począł się witać po kolei i gadać głośno. Gwary u niego zawdy dostanie. Postawili przed nim miskę i musiał jeść, rad nie rad, bo go raczyli każdy na swoją rękę.

Jeszcze nie dojadł dobrze, a już cała izba napelniła się ludźmi. Naszli się, jak zwyczajnie sąsiedzi... Był i Tomek od Kozery i Sobek od Kopańdy i Błazek od Kusia – nikogo z bliższych nie brakowało.

Wikcia pozierała ku drzwiom, czy jeszcze ktoś nie przyjdzie... Ale tego ktosia jakosi nie widać...

– Musi przyjść – szeptała sobie. Leciał za mną od kościoła, jak opętany. Wczoraj się ludzie ze mnie śmiali, a dziś zaś z niego, bo ja była na przodku... aha! Tak się ludzi za nos wodzi, jak sami nie idą...

Urwała myśli, pełne wewnętrznej otuchy, bo już stary Szczepan, którego co dopiero powiązali, wytrząsł z rękawa flaszkę wina, postawił na stole i począł zapraszać po kolei...

– Dyc jutro dopiero Jana-pijaka, a wy dziś chcecie pić? – oganiał się Jantek.

– E, pódźcież, nie onaczcie się – ciągnął go Szczepan. – My se ta poradzimy. Przekręcimy świętego Jana na Szczepana i bedzie. Oni się ta o to nie pokłóca.

Zebrani huknęli śmiechem. Wnet „kolejka” przeszła i drugi raz nawróciła kołem.

– Jantoni! – woła Szczepan – ruszcie się no od pieca!

– Pijcie, pijcie, mnie plecyska bołą. Tak mnie w kościele wywałkowali...

– Ja przecie starszy, a nic mi, chwała Bogu – ozwał się Tomek.

– Boście musieli chyba na polu stać...

– Coby! Na środku kościoła. Jak mnie wzięli, padam wam, to mnie zanieśli przed ontarz, a podłogim kerpcami nie dotknął.

– Mnie to uściskali niemało! – podjął Sobek. – Zdawało mi się, że już nie dychnę... Jażem zaklął na Miłosierdzie Pańskie, dopiero mię trochę popuścili. Przecie to dawniej takie ściżby nie robili.

– Bo było mniej luda – rzekł z przeświadczeniem Szczepan. – Wy nie pamiętacie, boście młodzi... Drzewiej było tak, że mógł po kościele tańczyć ślebobnie, a nika nie utknął.

– Dziś się nie obertniesz – rzucił Błazek.

– Kany? Jak cię ściskają ze wszyckich stron... Inaczej to było drzewiej, inaczej... Myśleli my, że ten kościół potrwa, Bóg wie, dokąd, a tu ludzi narosło, co niemiara, i stawiaj nowy, abo stój jak pies na cmentarzu.

– Dyc ono tak – zauważył Tomek. – Ludzie rosna, a nie ubywają...

– Drzewiej to nie tak było, nie – ciągnął stary gazda. – Jak przyszło na święty Szczepan, tobyś pięć korcy owsa w kościele naśmiała...

– Hej, nie gadajcie! – ździwiło się paru.

– A jakże! Ludzie święcili po pół ćwierci, bo tego zwyczaj. Trza było bardzo biednego, coby w rękawie przyniósł... Księdza to wam tak obsypali, że w samych włosach nosił z miarkę owsa!...

Toż to śmiałał palcami, jak mógł, ale on ta rad był temu, bo jak ludzie wyszli z kościoła, to on na służbę krzyknął i nagarnowali mu zboża po kościele, że bez cały rok miał czym gadzinę żywić...

– No wicie, wicie! – dziwowali się gazdowie. – A dziśby cie ksiądz z kościoła wypędził, jakbyś przypadkiem prasnął w niego owsem... Dyc niejak!...

– Nie te czasy, nie te... – pokiwał głową stary Szczepan – Hej! nie te...

I zadumali się starzy – dziwowali młodzi...

A Wikcia ku drzwiom pozierała ukradkiem, rychło się otworzą... Otworzyły się, ale nie ten wszedł, którego miała na myśli.

– Haw mróz na polu! – ozwał się przybyły i tupnął nogą, szepując z kerpców zmarzły śnieg.

– Nic to, jak sam mróz – oświadczył Błazek.

– Gorszy wiatr – przyświadczył Szczepan – on ta i słusznie, wicie, wiatr mrozowi gada: „Jakoś ty sam, to chłop pada: Nic nie dbam!... Jaz ja z tobom – to chłop rusza sobom!...”

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.